London, 14th October, 1956
Registered at the G.P.O. as a newspaper

Cena 1s. 9d. Rok XI nr 42 (550)

LONDYN 14 października 1956

WIADOMOŚCI

TYGODNIK

Redakcja i administracja: 54 Bloomsbury St., London, W.C.1, tel. LAN 6894. — Prenumerata kwartalna 20s., w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie 3 dolary, w Belgii 150 fr. belg., we Francji 980 fr., w Niemczech 13 DM., w Szwajcarii 14 fr. szw., we Włoszech 1750 lirów, w innych krajach równowartość 3 dolarów. Zmiana adresu 1s. Czeki należy wystawiać na „Wiadomości". Ogłoszenia: administracja „Wiadomości". Cena za 1 cal × 1 szpalta £1.0.0.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał IV b.r. (20 szylingów w Wielkiej Brytanii, 3 dolary w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, 980 franków we Francji, 150 franków belgijskich w Belgii, 13 marek w Niemczech, 1750 lirów we Włoszech, w innych krajach równowartość 3 dolarów).

Najbliższy numer „Wiadomości" ukaże się w objętości 6 stron druku.

Cena egzemplarza 2s. 6d.

W dalszych numerach „Wiadomości" ukażą się m.in.: **JANA LECHONIA** „TUWIM"; wiersze **Antoniego Bogusławskiego, Zofii Bohdanowiczowej, Wacława Iwaniuka, Aleksandra Janty, Jana Kowalika, Mieczysława Lurczyńskiego, Józefy Radzymińskiej, Tadeusza Rawickiego, Michała Sambora; Rosy Bailly** „Panie na Dukli" (w przekładzie **Tymona Terleckiego), Stanisława Balińskiego** „Korespondencja Chopina po francusku", **Jana Bielatowicza** „Zjazd maturzystów", **Zofii Bohdanowiczowej** „Strofy śródziemnomorskie", **Mariana Czuchnowskiego** „Na wsi", **Marii Danilewiczowej** „Polska młodość Conrada", **Fryderyka Goldschlaga** „Heinrich Heine — geniusz sprzeczności", **Wacława Grubińskiego** „O chimerycznej i niechimerycznej naukowości", **Władysława Günthera** „Poglądy Krasińskiego w świetle dzisiejszej rzeczywistości", **Mariana Hemara** „Na 31 sierpnia" i „Liść", **Gustawa Herlinga-Grudzińskiego** „Ciemności i pętla", **Kazimierza Iranka-Osmęckiego** „Do Kraju przez cztery kontynenty", **X. Kamila Kantaka** „Deyblłówna w „Królu-Duchu", **Stanisława Kościałkowskiego** „Dzieje Polski pisane w Moskwie", **Zofii Kozarynowej** „Do Szczecina i z powrotem" oraz „Rozmowa z rodakiem", **Wacława Lednickiego** „Mickiewicz i przyjaciele-Moskale", **Jana Leszczy** „Reportaż poetycki z Sag Harbor", **S. L. Lewickiego** „Jazz", **Mieczysława Lurczyńskiego** „Bonifacjusz i anioł", **Josepha de Maistre** „O pożytku gry w karty" (w przekładzie **Jana Ostrowskiego), Rafała Malczewskiego** „Malarze, sztukamięs, Głodówka i jej smutny koniec" (z cyklu „O Zakopanem"), **Zygmunta Nagórskiego jr.** „Polacy w Ameryce Południowej", **Józefa Nerczyńskiego** „Ta joj! — Łyczaków!" (z cyklu „Wspomnienia starego lwowiaka"), **Jadwigi Otwinowskiej** „Listy do Janki", **Pandory** „Droga w dół" (z cyklu „Puszka"), **Zygmunta Rawity-Gawrońskiego** „Dogmatyzm niebezpieczny ale nieunikniony", **Sławoja Składkowskiego** „Na Pawiaku" (z cyklu „Kwiatuszki administracyjne"), **Kazimierza Smogorzewskiego** „Niemiec o wschodniej granicy Polski", **Michała Sokolnickiego** „Sułtanka Ruska", **Tymona Terleckiego** „Ostatni z poloneza", **Jana Ulatowskiego** „Sowiecki antykomunizm", **F. A. Volgta** „Obecny stan malarstwa angielskiego", **Jerzego Wendla** „Uwagi o ksenofobii językowej", **Zygmunta Zawadowskiego** „Tajemnica Teodora", **Henryka Zylberlasta** „Apologia Hadriana", „Zamordowany przegrał sprawę" i „Podatek od wydatków"; listy **Przemysława Chrościechowskiego, X. Kamila Kantaka, Zbigniewa Łukaczyńskiego, Zofii z Jakubowskich Malczewskiej, Pandory, Ignacego Wieniewskiego.**

F. A. VOIGT

SUEZ i O.N.Z.

Od czasu gdy kilka miesięcy temu Egipt upaństwowił Tow. Kanału Sueskiego, brytyjska opinia publiczna przeszła przez trzy fazy: determinacji, osłupienia i obojętności.

Pierwszy odzew był natychmiastowy: „Trzeba to ukrócić. Suez jest naszą arterią życiową". Ruchy wojsk i okrętów, oficjalnie określane jako „środki ostrożności", spotykały się z dobrym przyjęciem: „Nareszcie coś robimy!". — Tym razem nie widzie

Ale to wywołało ledwie szmer zaniepokojenia. Może publiczność powinna czuć więcej obawy niż czuje, ale jeśli się czego obawia, to tego by nie zaczęło się racjonowanie benzyny (obawę tę wywołało zapewnienie rządu że nie wchodzi to w rachubę).

Taki jest — czy to jest dobre czy złe, czy ani jedno ani drugie — obecny stan brytyjskiej opinii publicznej.

Ale zapomnienie czy obojętność ze strony społeczeństwa nie pozbawiły

M. B. LEPECKI

ZAMACH NA MINISTRA PIERACKIEGO
i gorzkie tego następstwa*)

Było to 10 lub 12 czerwca 1934. Około 2-ej pp. wpadłem na chwilę do kawiarni Europejskiej, aby napić się kawy i porozmawiać ze znajomymi. Przy stoliku „rządowym" siedziało kilka osób; przysiadłem się do nich. Wkrótce nadszedł minister Pieracki i też usiadł z nami. Spytał jak zwykle gdy spotykał się ze mną:

— Jak tam Komendant?

Pierackiego znałem już od dawna, ale zbliżyłem się doń dopiero w latach 1926-1927, gdy moje mieszkanie przy ul. Wiejskiej było miejscem różnych zbiórek. Zawsze podziwiałem w nim wielki spokój, zimną krew, łatwość pobierania decyzji i chłodną bezwzględność. Odbijał jaskrawo na tle sentymentalnych, ślamazarnych, pełnych różnych wątpliwości Polaków. Sama jego powierzchowność harmonizowała z cechami charakteru: twarz miał szeroką, o wyrazie nieruchomym, na której wewnętrzne odczucia nie ryły żadnych śladów; wąskie usta zdradzały zaciętość i upór.

Rozmowa potoczyła się najpierw na temat marszałka Piłsudskiego.

— Windę w pałacu w Wilnie już kazałem zrobić — rzekł Pieracki, nawiązując do mojej niedawnej prośby.

Chodziło mi o to aby Marszałek, któremu wchodzenie po schodach robiło coraz większą trudność, miał wygodę w czasie pobytu w Wilnie, gdzie jego pokoje znajdowały się na pierwszym, ale bardzo wysokim piętrze.

— Dziękuję, Marszałek na pewno będzie bardzo rad, chociaż wątpię czy się do tego przyzna.

Pieracki kiwnął głową.

— Na pewno się nie przyzna — powiedział.

Znał on równie dobrze Marszałka jak ja. Wiedzieliśmy obaj że „starszy pan" starannie ukrywał wszystkie swoje niedomagania fizyczne i bardzo się gniewał gdy traktowano go jako słabego. Na przykład, gdy wchodził w Wilnie na piętro, zatrzymywał się zwykle na półpiętrze aby odpocząć, zawsze jednak odpoczynek starał się zamaskować oglądaniem ustawionych tam kwiatów i rozmową na ich temat. Tak samo postępował idąc pieszo z G.I.S.Z.u do Belwederu.

Potem rozmowa z ministrem Pierackim zeszła na inne tory, aż wreszcie zaczął opowiadać o swojej podróży po Małopolsce Wschodniej, którą odbył przed kilkoma dniami.

— Zdarzyło mi się — mówił — że przejeżdżając przez... — wymienił miejscowość, której nazwy nie pa-

Wiedziałem że Pieracki tłumił twardą ręką wszelkie objawy anarchii, w szczególności zaś dużą surowość ujawniał wobec młodzieży spod znaku Obozu Wielkiej Polski, i dlatego przypuszczenie to nie wydało mi się absurdalne. Prawdziwi piłsudczycy nigdy nie lubili endeków. W ich sercach wciąż tlił się żar, wzniecony w wielkich dniach działalności Polskiej Organizacji Bojowej. O wszystko byli gotowi pomścić swych starych i zakamieniałych przeciwników.

Poszedłem do Marszałka.

Siedział w gabinecie, ale ani czytał, ani nie stawiał pasjansa, jak to zwykł robić w godzinie poobiedniej. Pogrążony był w zadumie, gęsty obłok dymu tytoniowego wskazywał że już od dłuższego czasu palił papierosa po papierosie.

— Dzień dobry, panie marszałku.

Marszałek popatrzył na mnie niemo, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Tak — rzekł zamiast odpowiedzi na przywitanie i po chwili znowu począł powtarzać: — Tak, tak, tak.

— Ależ to jaki świnie... — zacząłem, ale Marszałek przerwał mi.

— Pamiętacie w Priwislinje? — zapytał.

— Mało, panie marszałku.

Marszałek nie zważał na moje słowa.

— Dziesięć priwislinskich gubernii i trzynaście milionów Priwislincew, — zaczął z polska posyjsku, — gławnyj gorod Warszawa, wieroispowiedanje rimsko-katoliczeskoje. Priwislinje, a w nim Priwislincy, łapówki i konspiracje.

W najlepszej myśli wtrąciłem:

— To już, Bogu dzięki, przeszłość.

Słowa te wywołały zupełnie nieoczekiwaną reakcję. Marszałek uderzył z całej siły pięścią w stół.

— Mądrala! — krzyknął. — To już „przeszłość", to już „przeszłość". Gdzież wy w tej teraźniejszości widzicie koniec przeszłości?

Naturalnie milczałem, tym bardziej że Marszałek dodał jeszcze:

— Wy sam jesteście Priwisliniec i dlatego chcecie mi u Priwislinja bronić.

Widząc zdenerwowanie Marszałka, obawiałem się dalszej rozmowy na ten temat. Powiedziałem coś jeszcze o temperaturze powietrza, pokręciłem się po gabinecie i wyszedłem.

Około 5-ej przyszedł gen. dr Sławoj Składkowski, który przebywał u łoża Pierackiego w szpitalu Ujazdowskim, i powiedział że minister umarł, nie odzyskawszy przytomności. O śmierci zameldował Marszałkowi dr Woyczyński, gdyż nie chciał on przyjąć nikogo ze świadków zejścia.

Jak już wspomniałem, tego dnia nie miałem służby, mogłem więc pójść na miasto by dowiedzieć się więcej szczegółów.

Miasto aż huczało od pogłosek i plotek. W kołach moich znajomych przeważała opinia że winę za śmierć ministra ponoszą endecy. Vox populi oskarżał stanowczo bądź Obóz Wielkiej Polski, bądź też Obóz Narodowo-Radykalny, który w ostatnich czasach zaczął właśnie rozwijać ożywioną działalność. Jedynie komendant ochrony osobistej Marszałka, kpt. Bolesław Ziemiański, krzywił się podejrzanie i coś bąkał o Ukraińcach, ale w pierwszej chwili nie chciano go słuchać. Przypominano sobie zamordowanie prezydenta Gabriela Narutowicza i bezwstydny stosunek narodowców do jego mordercy. Oburzenie zapanowało tak wielkie że każde represje spotkałyby się z poklaskiem tym większym im represje byłyby mocniejsze. Niewątpliwie podobnym nastrojom uległy również i sfery rządzące, dla których, obok przyczyn wywołujących głębokie oburzenie w szerokich warstwach społeczeństwa, dochodziła jeszcze jedna: zabito im przyjaciela, którego lubili i cenili, z którym byli na „ty", z którym przeszli niejedną ciężką chwilę w legionach i później, gdy podjęli pracę w szeregach P.O.W. Nic też dziwnego że myśl o pomszczeniu go i wypaleniu bodaj żelazem hańby skrytobójstwa w walce politycznej, zrodziła się jeszcze tego samego dnia gdy minister oddał ostatnie tchnienie. W godzinę po jego śmierci zgłosił się do Marszałka premier Leon Kozłowski i został przyjęty.

Snać Marszałek chciał wymienić poglądy z kimś bliskim jeszcze tego samego dnia, gdyż na 9-ą wieczór kazał przywołać „Alę" czyli Aleksandra Prystora. Zdaje mi się że Marszałek bardzo cenił zdanie swego starego przyjaciela, tak się bowiem składało że gdy nad Polską zbierały się chmury, gdy coś w machinie państwowej zazgrzytało, my, adiutanci, dostawaliśmy rozkaz zaproszenia go bądź do G.I.S.Z.u, bądź do Belwederu.

Dość późnym wieczorem wróciłem do G.I.S.Z.u: miałem służbę od północy. Dr Woyczyński poszedł do domu, ja zostałem sam. Jak zwykle o tej godzinie, wziąłem ołówek i notes i udałem się do gabinetu by zapytać Marszałka o rozkazy na następny dzień.

Gdy wszedłem, Marszałek trzymał właśnie pod pachą termometr. Zobaczywszy mnie, wyjął go i podając mi, powiedział:

— Zobaczcie, co tam mówi pan termometr.

Przyjrzałem się uważnie małym cyferkom i wąziutkiej, srebrnej nitce. Zatrzymała się, niestety, powyżej czerwienią oznaczonej liczby.

— Trzydzieści siedem i dwie dziesiąte.

Marszałek ruszył ramionami.

— To i tak jeszcze nieźle. Ja myślałem że nazbiera się trzydzieści osiem.

Marszałek wziął ode mnie plik pism, które przyniosłem, ale nie zaczął ich zaraz przeglądać. Palił szybko papierosa, wbrew nabytemu w ostatnich latach zwyczajowi jak najdłuższego używania każdej sztuki, i kłąb dymu wokół jego głowy coraz to bardziej gęstniał.

Jak zwykle, gdy widziałem Marszałka tak głęboko zamyślonego, starałem się wynieść cichaczem z gabinetu do swego pokoju. Najczęściej Marszałek nie zauważał nawet mego odejścia, ale teraz, gdy skierowałem się do drzwi, poruszył się w fotelu i spojrzawszy na mnie, rzekł:

— Aha, to wy tu jesteście.

— Tak jest, panie marszałku, po rozkazy na jutro.

— Dobrze, dobrze — i nagle jakby odpowiadając na moje pytanie, powiedział: — Ja nic nie mam przeciw tej waszej czrezwyczajce, ja się na tę waszą czrezwyczajkę na rok zgodziłem.

Podówczas nie wiedziałem, o czym Marszałek mówi i na co się zgodził. Domyślałem się jedynie że miało to związek z wizytą premiera Kozłowskiego i płk. Prystora, no i przede wszystkim z zamachem na ministra Pierackiego. Ponieważ sam byłem wypadkami dnia bardzo poruszony, powiedziałem:

— Oj, zdałaby się, panie marszałku, jaka taka czrezwyczajka na tych co ten zamach uknuli i co atmosferę do niego szykowali. Tylko na razie to jeszcze niepewne, kto zawinił.

Marszałek spojrzał na mnie badawczo.

— A wy coście słyszeli?

— Mówią prawie wszyscy na mieście że to endecy.

Marszałek po raz drugi dzisiejszego dnia uderzył przy mnie pięścią w stół.

— Priwislinje! — krzyknął. — Gdy to okaże się prawdą, ja was każę siec batogami, ja was każę ze skóry obdzierać. Ja każę nie żałować nikogo, ni kobiet, ni panienek. Ja wypleńię priwislinskie nasienie i z Priwislinja i z Galizien i z Posen.

Gęste brwi Marszałka nastroszyły się jeszcze bardziej niż zwykle. Głucho grzmiały jego słowa pod wysokim pułapem gabinetu.

— Kwiaty, kwiaty, kwiaty... — począł nagle powtarzać; zaciśniętą pięścią groził komuś ze swych myśli.

Na pewno stanęły mu w oczach owe kwiaty, składane na grobie prezydentobójcy, te nabożeństwa za jego duszę, to histeryczne uwielbianie zbrodniarza. Kto miał za sobą doświadczenie z r. 1922, nie mógł i nie miał prawa zapomnieć o nim w r. 1934.

Nigdy, ani przed tym dniem, ani później nie widziałem Marszałka w takim podnieceniu. Wstał, odsunął fotel i począł mierzyć salę szybszymi niż zwykle krokami. Usunąłem się na bok i myślałem że słowa, które tu przed chwilą padły, to nie czcze pogróżki. Ale jednocześnie wzbudziły się we mnie wątpliwości co do przypuszczalnych sprawców zbrodni. A może to nie endecy? Czyżby mogli posunąć się tak daleko? Przypomniały mi się słowa kpt. Ziemiańskiego.

— Panie marszałku, — odezwałem

£1. 12. 9 oszczędności w ciągu roku

JAKIE KORZYŚCI DAJE PRENUMERATA „WIADOMOŚCI"?

mu to na sucho!". — „Mamy tego dosyć!".

„Czy będzie wojna?". — „Tylko mała". — Wojna z Egiptem nie byłaby wcale niepopularna.

Organizacja Narodów Zjednoczonych nie przychodziła na myśl nikomu. Społeczeństwo brytyjskie ledwie dostrzega tę instytucję z wyjątkiem tych chwil gdy prasa i radio wbijają wszystkim jej istnienie do głowy. Ale nawet myśl o niej jest dość pobieżna.

Badania Gallupa w tym zakresie są mylące. Oczywiście, jeśli przeprowadzający ankietę zapyta kogoś czy jakiś zatarg powinien być przedstawiony O.N.Z., częściej otrzyma odpowiedź „tak" niż „nie". W powszedniej rozmowie autor tej opinii jeśli je w ogóle wspomni, nazwie O.N.Z. „bujdą" lub „propagandą". Ale gdy odpowiada na pytanie prowadzącego ankietę poczuwa się poza wszystkim innym do godności członka społeczności brytyjskiej i powiedzenie „tak" wydaje mu się rzeczą właściwą i godną. Oczywiście, niektórzy odpowiedzą „nie" i dołożą do tego soczysty epitet. Ale liczy się tylko gołe „nie". Badania Gallupa ograniczają się do ilości i nie uwzględniają jakości odpowiedzi. To sprawia że nie są zbyt interesujące.

Konferencję, która wypracowała propozycje 18 państw, przyjęto na ogół bez szemrania na przekór niemal powszechnej nieufności do konferencji jako pustego gadania. Tę konferencję zwołano szybko i szybko zakończono. Wydawało się to oczywiście słuszne, że należy „wysłuchać zdania wszystkich zainteresowanych".

Gdy Egipt odrzucił propozycje, nie było to niespodzianką i wzbudziło tylko niewielki żal. W rzeczywistości pod powierzchnią tliło się zadowolenie, bo wielu ucieszyło się na myśl o „nauczce". Tego także żaden Gallup nie ujawni!

Ale nic się nie stało. Gdy zebranie Kongresu Związków Zawodowych (T.U.C.) w Brighton wezwało do zastosowania „tylko środków pokojowych", a Labour Party powołała się w Izbie Gmin i Izbie Lordów na O.N.Z. — nagle i najbardziej nieoczekiwanie kraj podzielił się wzdłuż linii partyjnej. Gorliwy i czujny nastrój narodu opadł, i po krótkim okresie osłupienia, zniknęło całe zainteresowanie się sprawą. Dziś publiczność jest po prostu „znudzona Nasserem", a kraj jeśli nie zjednoczony z powrotem, nie jest już podzielony ponieważ nie widzi aby istniało coś co by go mogło dzielić.

Gdy prasa liberalna i labourzystowska zaczęła wbijać w głowę O.N.Z., wywołało to lekki odzew wśród społeczeństwa: „Jeśli my nie chcemy się tym parać, czemu nie ma tego załatwić O.N.Z.?". — „I tak nie mają nic do roboty". — „To nie pomoże, ale też i nie zaszkodzi, więc o co idzie?".

W ocenie publiczności odpowiedzialność przestała już obciążać Anglię. Poza tym prasa i radio wysilały się na to by wyjaśnić że Kanał nie jest w rzeczywistości „naszą arterią życiową".

Politycy i publicyści o skłonnościach „fellow-traveler"skich malowali okropne obrazy pożaru rozprzestrzeniającego się na cały Bliski Wschód, upaństwowienia pochłaniającego wszystkie źródła naftowe, Indii występujących ze Wspólnoty (jakby to kogokolwiek obchodziło), Anglii odosobnionej wraz z Francją, Ameryki wracającej do izolacji i trzeciej wojny światowej czającej się w głębi.

O.N.Z. istnienia. Ta instytucja zaczęła przeobrażać położenie międzynarodowe nie dlatego że „coś zrobiła" albo że oczekuje się że „coś zrobi", ale tylko dlatego że ją wezwano do działania jak na razie czysto retorycznie. Z tych, którzy ją wezwali, przynajmniej pewni zdają się żywić skrytą nadzieję że nic nie zrobi i że w następstwie nic nie będzie zrobione.

Jak często przedtem, O.N.Z. okazuje się środkiem do przerzucenia piłki, do przesunięcia odpowiedzialności na kogoś innego. W ten sposób konflikt, bezpośrednio godzący w interesy narodowe i — w swoich szerszych rozgałęzieniach — w bezpieczeństwo świata zachodniego, będzie, jak się wydaje, powierzony kosmopolitycznemu komitetowi albo raczej dwu komitetom: Radzie Bezpieczeństwa i Zgromadzeniu Ogólnemu.

Wojska są wciąż w pogotowiu. Cypr, baza możliwych działań przeciw Egiptowi uległ przeobrażeniu. Lokalna walka między Brytyjczykami i cypryjskimi nacjonalistami prawie poszła w zapomnienie. Zapora balonowa uniosła się w powietrze przypominając żołnierzom niebo Londynu w wigilię wojny. Przybyły oddziały francuskiej Legii Cudzoziemskiej, złożone głównie z Niemców. Nie jest w tej chwili jasne jakie jest przeznaczenie tych wojsk. Być może są one tam jako środek ostrożności — bez wątpienia rozsądny — na wypadek, gdyby „Nasser okazał się niegrzeczny" w chwili gdy zastosowałoby się (jeśliby się zastosowało) „nacisk gospodarczy".

Dawniej uważano że jest to rozumne i naglące ograniczać konflikt w czasie i przestrzeni a to na tej zasadzie że im mniejszy jego rozmiar, tym szybsze jego zażegnanie, i im mniej mocarstw wchodzi w grę, tym większa pewność zdrowego i ostatecznego rozwiązania.

Wszystko to się zmieniło. Dziś, gdy wybucha spór, bez wzgledu na to jak proste byłoby jego załatwienie zainteresowane państwa wysilają się by go pozbawić tego prostego charakteru, ale uczynić go tak złożonym jak tylko mogą. Zamiast go ograniczać, rozszerzają go do możliwych granic na tej zasadzie że im większa liczba zainteresowanych mocarstw, tym mniejsza odpowiedzialność każdego z nich.

Stosownie do nowego kodeksu postępowania międzynarodowego, który zaczął obowiązywać od wojny koreańskiej, napastnicy zasługują na szczególne względy. Za żadną cenę nie należy urazić ich uczuć gdyż są oni bardzo, bardzo wrażliwi. I koniec końców, nawet napastnikom przysługują prawa!

Stało się regułą rządzącą działaniem politycznym „wolnych narodów", że bronią one zagrożonego przez wroga stanowiska nie, jak to było w przeszłości, trzymając go na zewnątrz, ale zapraszając go do środka. Wróg nie potrzebuje się już uciekać do trojańskiego konia. Wszystko co mu wypada zrobić, to przyjąć zaproszenie i wkroczyć w obręb murów pod rozwiniętymi sztandarami, na których wypisano słowa: „Pokojowe współistnienie".

W ten sposób osiąga się najwyższe cele nowoczesnej sztuki rządzenia — bezczynność i rozcieńczenie odpowiedzialności. Nawet najbardziej surowi krytycy O.N.Z. są gotowi przyznać, że Rada Bezpieczeństwa i Zgromadzenie ogólne służą tym celom w sposób doskonały.

F. A. Voigt.

strumienia, na którym zwalił się mostek. Trzeba było sprowadzić chłopów aby mostek naprawili. Po kilku godzinach wszystko było w porządku, ruszyłem dalej. Ale niech pan sobie wyobrazi moje zdumienie gdy na drugi dzień doniesiono mi ze Lwowa że krąży tam pogłoska o dokonanym na mnie zamachu przez wysadzenie w powietrze mostu...

W tym miejscu Pieracki roześmiał się.

— Nie bardzo wierzę — rzekł — w te ukraińskie zamachy, ale plotka dużo powiedziała mi o nastrojach.

Ze zgrozą uświadomiłem sobie później że mówił to człowiek, który w niewiele dni później legł od kuli właśnie ukraińskiego skrytobójcy. Wkrótce na stoliku, przy którym siedział, miała leżeć na znak żałoby wiązanka róż, przepasanych czarną wstążką.

Nadszedł płk. Franciszek Sobolta i jeszcze ktoś ze znajomych, rozmowa stała się ogólna, a w kilkanaście minut później wszyscy zaczęliśmy rozchodzić się na obiad.

15 czerwca miałem dzień wolny, więc jadłem obiad na mieście. Podobnie jak inni adiutanci, których Marszałek często potrzebował, zawsze się tak urządzałem że dr Marcin Woyczyński mógł mnie w każdej chwili znaleźć. Tego dnia dr Woyczyński zadzwonił do mnie po 3-ej.

— Czy pan wie co się stało? — zadźwięczał głos doktora w słuchawce.

W pierwszej chwili pomyślałem o Marszałku. W ostatnich czasach nie był zdrów. Serce zabiło mi gwałtownie.

— Nic nie wiem, panie pułkowniku...

— Niech pan zaraz przyjedzie.

Już po kilku minutach byłem w G.I.S.Z.u. Na schodach spotkałem woźnego Malessę; szedł do kuchni z talerzami.

— Co tam na górze?

— Nic, panie kapitanie, wszystko w porządku.

— Pan Marszałek?

Malessa uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Mało jadł. Niech pan kapitan spojrzy, — pokazał talerz, — prawie wszystko odnoszę nietknięte.

Więc to nie „to" — pomyślałem. Wszedłem do mieszkania Marszałka i niezwłocznie udałem sie do pokoju dr. Woyczyńskiego. Jak zwykle, siedział przy swoim stoliku i kładł pasjansa. Zobaczywszy mnie odsunął karty i rzekł:

— Panie kapitanie, był zamach na Pierackiego.

— O, Boże! Nie żyje?

— Jest w szpitalu, żyje, ale mało nadziei by wyżył.

— Marszałek już wie?

— Tak.

— I co?

— Jest bardzo podniecony.

Doktór opowiedział mi pokrótce że zamachu dokonano na ul. Foksal, przed klubem, w którym minister się stołował, i dodał:

— Sprawca czy sprawcy uciekli.

Nagle chwycił mnie za gardło wielki żal.

— I kto, kto to mógł zrobić? — wykrzyknąłem.

Woyczyński wzruszył ramionami.

— Podobno endecy.

Zdretwiałem.

— Czyż to możliwe?

— Czemu nie. O Eligiuszu Niewiadomskim już pan zapomniał?

---

*) Z „Zapisków adiutanta".

PRENUMERATORZY otrzymują „Wiadomości" zanim są one w sprzedaży.

W PRENUMERACIE „Wiadomości" kosztują taniej. Prenumerata roczna wynosi £4.0.0 a numery pojedyncze w r. 1955 kosztowały £5.12.9.

PRENUMERATORZY za numery 6-stronicowe w cenie 2s. 6d. oraz świąteczne nic nie dopłacają.

BĄDŹCIE OSZCZĘDNI I PRENUMERUJCIE „WIADOMOŚCI"!

MARIAN HEMAR

NINA

Kilka tygodni temu,
Do Londynu, z Sowietów
Przybyła ekipa lekko-
Atletek i atletów.

Razem z politrukami
Było ich koło setki.
Sowieccy lekkoatleci,
Atleckie lekkoswietki

Przyjechali na między-
Narodowe igrzyska,
Pośród nich towarzyszka
Nina, mistrzyni dyska.

Dziewczę na schwał. Z plecami
Jak piec. Pupa jak bryczka.
Nina, sportowa Horpyna,
Nu — dyskobolszewiczka.

Na dzień przed zawodami,
Zwiedzając czar Londynu,
Zaszła do wytwornego
Damskiego magazynu.

Chodzi, patrzy, ogląda
Zgniłe zachodnie mody.
Obojętnie. Bo w głowie
Ma sportowe zawody

I w myślach dyskiem ciska
I oblicza wyniki.
Wtem patrzy — przed nią, z bliska
Leżą — kapelusiki.

Ciekawe jakieś dziwne,
Zupełnie niepraktyczne.
Bardzo burżuazyjne.
Śmieszne. Faktycznie, śliczne.

Figlarne dziwolążki —
Jeden z plecionej wstążki,
Drugi z zielonym piórkiem,
Trzeci z czerwonym sznurkiem.

Czwarty, ach, niebożątko,
Właściwie samo rondko,
Aksamitna jarmułka,
Na niej dwa srebrne kółka.

Piąty ze złotej pilśni,
Patrzcie go — błyska i lśni.
Szósty kłębuszek z puszku —
Kapelusz przy kapeluszku.

I wtem — ach zrozumcie ludzie
Tajemnicę przyrody —
Wtem, ach, mistyczny cudzie
Burżuazyjnej mody,

Której nie pojmie żaden
Marxistowski bolszewik —
W sowieckiej lekkoatletce
Zbudziło się DAS EWIG

WEIBLICHE — jak po niemiecku
Mówi poeta Goethe —
Atlecka lekkoswietka
Zmieniła się — w kobietę.

W słabą Ewę, bezbronną
Wobec wiecznych pokusik,
Którymi ją czaruje
Kapelusz... kapelusik...

Jeden z zielonym piórkiem,
Drugi z czerwonym sznurkiem,
Trzeci z jedwabnej plecionki,
Czwarty — rondko z koronki,

Piąty — pilśniowy placek,
Szósty — puch — nie razdrażaj.
Sześć czarodziejskich cacek —
Ach, Ninoczka — uważaj...

Lekkoatletce Ninie,
W Londynie, w magazynie,
Wydało się że ona
Leci, faluje, płynie —

I na plecach szerokich
Jak piec, poczuła ciarki —
Te ciarki pra-kobiety,
Wiecznej szopenfeldziarki.

Wy, siostry jej, towarzyszki,
Kuzynki, ciocie, kumcie —
Cóż ja wam będę mówił? —
Wy Ninoczkę zrozumcie,

Wy Ninoczce przebaczcie.
Wieluż wam w życiu, wieluż,
Marzył się kiedyś jeden
Zaczarowany kapelusz?

A jej — sześć. Tuż przed nosem.
Jakby w garści sześć wróbli.
Myślała — ileż one
Kosztują? Po 500 rubli?

Tyle by kosztowały
W Leningradzie, czy Tule,
Czy w Charkowie, czy w Moskwie,
Gdyby były w o g ó l e.

Ale n i e m a! Nie kupisz!
Ach, serce z żalu pęka!
I nagle — sama jakoś
Wyciągnęła się ręka —

Haps — i za gors w jednej chwili
Sześć kolorowych motyli.
Myślała że nikt nie widzi.
Niestety. Zobaczyli.

Ja, wiecie, człowiek ludzki.
Ja o tej biednej Ninie
Myślę z dużym współczuciem.
Ja biedaczki nie winię.

Ja nie wyciągam wniosków
Że wszystkie sowieckie panie
Same szopenfeldziarki.
To by było za tanie,

To by była satyra
Nie na moim poziomie.

Ja wam ciekawsze rzeczy
W tej sprawie uświadomię:

Gdy dziś moskiewska „Prawda"
Krzyczy, blada i sina,
Że niewinna sowiecka
Lekkoatletka Nina

Padła w Anglii ofiarą
Nikczemnej prowokacji —
To ja, owszem, przyznaję,
Że w tym jest trochę racji.

Sam stwierdzam, sprawiedliwie:
Nina nie zawiniła,
Bo jednak prowokacja
Niestety, trudno, była.

Z krainy chronicznej nędzy,
Z krainy szarego bytu,
Z krainy niedostatku,
Z krainy niedosytu,

Z krainy kobiecych tęsknot
I kobiecego żalu
I bawełnianych pończoch
I tandetnego perkalu,

I tekturowych butów
I barchanowych beretów
I śmierdzących kożuchów
I fufajek — z Sowietów —

Pozwolili wyjechać
Młodej, zdrowej kobiecie
Do Londynu... na Bond Street
I tam ujrzeć na świecie

Takie niewiarogodne,
Takie cudne luksusy,
Że nastąpiła nikczemna
Prowokacja pokusy.

Prowokacja jedwabiu,
Wstążki, rondka i ptaszka,
Paciorka, piórka, sznurka,
Kłębuszka, fatałaszka —

Trzydzieści kilka szylingów
Cena tych skarbów wszystka.
Tyle przez dzień, w Londynie
Zarabia stenotypistka.

Biedna mistrzyni świata...
Biedna radziecka Ewa
Z raju Kaganowicza,
Bułganina, Chruszczewa,

Lenina, Pierwuchina,
Żukowa i Mikojana.
Ja wam przyznaję: Nina
Była sprowokowana.

Ja człowiek ludzki. Byłbym
Oszczędził jej katuszy.
Dałbym jej funta. Psiakrew,
Masz. Kup sześć kapeluszy.

Marian Hemar.

się, — mówił mi jeden oficer, który pracuje w dwójce, że w tych endeków nie bardzo wierzy, powiada że mogli w tym maczać ręce nacjonaliści ukraińscy.

Marszałek zatrzymał się na środku pokoju i patrzył na mnie w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym usiadł na fotelu i wziął jedno z pism do ręki.

— Jutro — rzekł — o 2-ej niech przyjdzie mój szef sztabu.

— Rozkaz!

Rozmowa była skończona.

Siedząc w swoim pokoju słyszałem przez otwarte drzwi głośną dyskusję jaką Marszałek prowadził sam z sobą, słyszałem bicie pięścią w stół i przejmujące słowa nagany. Już 3-a wybiła, a Marszałek wciąż jeszcze miotał się w swojej samotni, i dopiero wczesny czerwcowy poranek, wdzierający się przez szpary między roletami i oknami, skłonił go do przejścia do sypialni.

Jak każdej nocy, tak i tej, zgasiłem światło w gabinecie i położyłem rewolwer na nocnym stoliku Marszałka.

Była 4.30 rano.

*

Następnego dnia Marszałek wydał taki rozkaz dzienny:

ROZKAZ DO WOJSKA
Rozkaz dzienny nr 5
Ministra Spraw Wojskowych

Warszawa, dnia 16 czerwca 1934 roku

Żonierze,

Ś.p. Pułkownik dyplomowany Pieracki Bronisław został odkomenderowany ze stanowiska zastępcy Szefa Sztabu Głównego do różnych prac rządu, w szczególności zaś użyty do kierowania sprawami wewnętrznymi państwa.

Ś.p. Pułkownik Pieracki Bronisław pełnił dobrze i z honorem nałożony na niego obowiązek żołnierski, poległ, jako wojskowy, na wyznaczonym mu posterunku, dnia 15 czerwca 1934 roku.

W uznaniu położonych zasług, pan Prezydent Rzeczypospolitej mianował w dniu dzisiejszym ś.p. płk. dypl. Pierackiego Bronisława — generałem brygady.

Oddając cześć żołnierskiej pamięci, polecam odczytać niniejszy rozkaz przed frontem wszystkich kompanii, szwadronów, baterii i t.d.

Minister Spraw Wojskowych
(—) Józef Piłsudski
Marszałek Polski

*

Na trzeci dzień po zamachu, 17 czerwca 1934 rada ministrów uchwaliła stworzenie „obozu izolacyjnego", nazwanego później „obozem odosobnienia", w którym miały być umieszczane osoby „zagrażające bezpieczeństwu publicznemu". Miejsce na ten obóz wyznaczono w pobliżu małej mieściny kresowej — Berezy Kartuskiej, położonej przy wschodniej granicy państwa.

Tę to „czrezwyczajkę" miał zapewne marszałek Piłsudski na myśli, rozmawiając ze mną w nocy z 15 na 16 czerwca. Zaczęła ona funkcjonować w trzy tygodnie później. Do pierwszych „zesłańców" należeli m.in. Edward Budniak, Zygmunt Dziarmaga, Władysław Hackiewicz, Jan Jodzewicz, Edward Kemnitz, Jerzy Korycki, Czesław Łączyński, Bolesław Piasecki, Mieczysław Prószyński, Henryk Rossman, Włodzimierz Sznarbachowski, Bolesław Świderski. W tym pierwszym rzucie znalazło się ponadto kilku Ukraińców i kilku komunistów.

M. B. Lepecki.

63